ROZMAITOŚCI.

Dnia 3 maja, Ner 18. roku 1845.

Oblężenie Rodu przez Turków.

(Dokończenie.)

Noc była spokojna i cicha, a blask północnego księżyca połączony z białawą mgłą jesienną osłaniał całą okolicę migotnym mrokiem, dla oka trudniejszym do przeniknienia niż sama ciemność. Jakiś lekki szmer, podobny do szmeru liścia wiatrem wzniecconego, doleciał ucha Bertranda, leżącego na baszcie. Zerwał się nagle i spojrzał w przestrzeń oddzielającą wały od nieprzyjacielskiego obozu. Nic ..i jednakże nie mógł dojrzeć. Rozumiał więc, iż mu się przysłyszało.

Lecz po niedługim czasie powtórzył się tenżesam szelest i dało się nawet w oddaleniu ciężkie stąpanie rumaków słyszeć. Bertrand nie wahał sie już dłużej, i przytknąwszy spieszno do ust trąbkę, dał znak trwogi.

„Na wały! Na wały! Nieprzyjaciel!" zawołał, a w oka mgnieniu rozległ się tensam krzyk od baszty do baszty, od domu do domu. Co żywo zbiegli się rycerze, wojsko i mieszczanie na wały twierdzy, tysiące pochodni błysnęło po ulicach, całe miasto stanęło pod bronią.

Ale i teraz jeszcze nie można było zbliżających się zastępów dostrzedz. Dopiero po chwili nadsunęły zwolna ciemne masy śród mgły wilgotnej i zdążały ku twierdzy. Skoro tylko pierwsze szeregi rozeznano, tysiąc dział błysnęło zarazem i posłało śmierć nieprzyjaciołom. Poczém znowu nastała krótka cisza, i znowu ryknęły działa na masę nieprzyjaciela który zbliżać się nie przestawał; lecz w tejżesamej chwili ozwał się okropny huk i łomot od strony włoskiej baszty, przeraźliwszy od huku wszystkich dział fortecy, a z tym gromem rozlał się szeroko, czerwoniawo-biały błysk w powietrzu, niosąc z sobą czarne bryły, jakby wybuchem wulkanu wyrzucone.

Jeszcze się zgruchotanego muru w różne strony toczyły kamienie, a już tłumy janczarów, przez wyłom się przedarłszy, rozsypały się po wałach. Raźno jednak zabiegli im tam rycerze ze swémi zastępami, i w mgnieniu oka zapełnili stosem mieczów, hełmów, dzid i toporów otwór wyłomu, przez podpaloną minę zdziałany, podczas gdy tysiące rąk z szańców miotały kamienie, wrzący ukrop i kipiącą smołę na głowy szturmujących. Okropnie zamętny odgłos jęków, krzyku, przekleństw, wznosił się pośrodku wściekłego boju o śmierć i życie ku cichym nocnym niebiosom; niepohamowanym pędem cisnęła się tłuszcza niewiernych w otwór wyłomu, ale chociaż każda głowa z turbanem, była rycerskim mieczem rączo powitana, lub silném pchnięciem dzidy odparta, zawsze jednak pchały się nowe tłumy nieustannie, a żołnierz z żołnierzem ścierał się w pojedyńczych zapasach, które tylko sztyletem albo nożem zręcznie zadany cios rozstrzygał.

Bertrand de la Croix walczył przez całą godzinę śród tak morderczego boju na wstępie do wyłomu, ścieląc duży wał trupów wokoło siebie. Niepoliczone strzały przemykały mu ponad głową, krocie oręży błyskało około niego, potrzykroć wymierzył weń jakiś zaciekły muzułmanin, a uchybiwszy celu, rzucił się nań wreszcie z wściekłością tygrysa, i byłby go już niezawodnie sztyletem ugodził, gdyby nagłe cięcie Bertranda trupem go nie było położyło.

W skutek tak bohatérskiego oporu ocalało na dziś jeszcze miasto, a gdy nasz młody ochotnik po zaprzestaniu walki, na swoje zwyczajne wracał stanowisko, widział wszystkich rycerzy i dowódzców mocno wprawdzie znużonych i omdlałych, ale oraz najlepszą otuchą z tak pomyślnego skutku dzisiejszego boju przejętych. Przyczém jednak z zdziwieniem postrzegł, iż niektórzy rycerze w osobne gromadzili się grupy i z widoczną trwogą o jakimś nieprzyjemnym przedmiocie rozprawiali; ale ponieważ dotąd bardzo mało styczności z nimi miewał, przeto gdy teraz tuż koło nich przechodził, nie wezwali go do wspólnéj z sobą narady, lecz udali jak gdyby go nie widzieli.

Dopiero wtedy gdy się już był znacznie od nich oddalił, przystąpił jakiś nieznajomy towarzysz broni i zapytał go z półszyderczym uśmiéchem: czy już słyszał o tém, iż kanclerz zakonu, Andrzej de

Merail, jest uwięziony zato, że w zdradzieckiém porozumieniu z nieprzyjaciołmi zostawał?

„To być nie może!” zawołał Bertrand w najwyższym stopniu przerażony — »nie, to jest niepodobna!»

»A przecież tak się rzecz ma w istocie;” rzekł mu jeden stary rycerz stojący w pobliżu, a Bertrand postrzegłszy iż nań badawczym okiem wielu patrzało, odzyskał natychmiast zwyczajną spokojność umysłu i odszedł dokąd iść zamierzył.

*

Nazajutrz rano, skoro tylko zabrzasła zorza, udał się Bertrand do pałacu wielkiego mistrza, z przedsięwzięciem pomówienia z nim o losie nieszczęśliwego więźnia, który z tak znakomitego stopnia zarazem w hańbę i sromotną niewolę popadł. Ale zaledwie przed wielkim mistrzem stanął i nazwisko więźnia wymienił, usłyszał tę niechętną odpowiedź:

„Daremne wszelkie prośby i przedstawienia. Andrzej de Merail jest już na mocy najoczywistszych dowodów o zdradę przekonanym i osądzonym. Jutro skoro świt umrze z ręki kata. Nie odpowiadaj mi Bertrandzie. Jesteśmy ci wiele winni, lecz w sprawach zakonu, niema nikt głosu prócz rycerzy zakonnych.”

Bertrand spojrzał hardém okiem na mistrza, a potém rzekł: „Nie przyszedłem tu wstawiać się za winnym i osądzonym; lecz dowiedziawszy się, iż już wyrok nań zapadł, chciałem ci tylko, sir Villiers de l'Isle Adam, przypomnieć: że Andrzej de Merail przy wyborze wielkiego mistrza był twoim współzawodnikiem, — przyszedłem mówię, prosić cię o wydzielenie mu surowéj sprawiedliwości, aby sława twego imienia żadnéj ztąd skazy w oczach świata nie poniosła. To tylko umyśliłem ci jako rycerz rycerzowi powiedzieć, a teraz wielki mistrzu, polecam cię Bogu i twemu sumieniu.”

„W zbyt śmiałym tonie wytykasz mi boleśne prawdy;” — odrzekł mistrz wielki — »czuję to dobrze, iż stracenie de Meraila świat mi za nikczemną zemstę poczytać może. Ale byłem zawsze sprawiedliwym dla wszystkich, więc i dla niego innym nie będę. A teraz, rycerzu, polecam cię wzajem Bogu; i tak już strwoniłem w téj sprawie więcéj słów niż mi należało.”

Po tych słowach odszedł każdy w swoją stronę. Bertrand szedł właśnie zamyślony do swego pomieszkania, gdy paź Andrzeja de Merail tajemniczo doń się zbliżył.

„Czy masz co do mnie?” zapytał go śpieszno Bertrand.

„Mam cię rycerzu prosić,” — odrzekło pacholę — „abyś niezwłocznie odwidził w więzieniu pana mego. Oto jest habit mniszy, a drzwi zastaniesz otwarte, gdyż dozorca więzienia jest mu przychylny. Racz śpieszyć rycerzu, bo śmierć lub życie zależy od twoich kroków.”

Bertrand zastanowił się przez chwilę, a potém — „Wszystko mi jedno!” — rzekłszy sam do siebie, ubrał się prędko w habit, spuścił na twarz kaptur i poszedł ku wieży św. Mikołaja, gdzie ojciec jego kochanki był uwięzionym.

„Przyszedłeś!” zawołał de Merail uradowany — gdy Bertrand wstąpił do więzienia a dozorca drzwi za nim zamknął. »Przyszedłeś! Spodziewałem się tego! Nie w mojéjto sprawie przyzwałem cię do siebie. Idzie tu o życie mojéj córki, mojéj Izabeli, twojéj kochanki.”

„Ha!” krzyknął przytłumionym głosem Bertrand. „Gdzież ona jest? Co się z nią stało? Co trzeba dla niéj czynić? — Powiedz, powiedz czémprędzéj!”

„Dopóki moje dziecię” — odrzekł de Merail — „nie było uwikłane w moję sprawę, nie byłem potrzebny niczyjéj łaski, i chciałem sam zwyciężyć albo sam zginąć. Lecz teraz, muszę błagać o pomoc, i ciebie o nią wzywać; a jeźli się chwilę wahać będziesz, będę zmuszonym powiedzieć, żeś szczérze mojéj córki nie kochał i że ją na wieczną hańbę chcesz wydać. Oto patrz i czytaj.” To mówiąc dobył zwitek papieru i doręczył go przyjacielowi. Bertrand przybliżył się do światła i zaczął czytać:

„Potężny sułtan Soliman, wszechwładny pan świata, rozkazuje mi, abym tobie zdradziecki dżaurze oświadczył, iż przestał już ufać rzetelności rad twoich, które dotąd tylko zgubę wojskom proroka niosły, i że znalazł środek zapewnienia się o twéj szczérości. Wiédz zatém, iż Cursogli, wierny sługa jego ces. wysokości pojmał na zdobytym okręcie pewną dziewczynę, która się twoją córką być mieni, a którą my w zakład twojéj wierności zatrzymali. Jeźli więc stosownie do umowy wydasz nam wasze zbójeckie gniazdo, natenczas otrzymasz panowanie nad wyspą Cyprus, a twoja córka wróci bezpiecznie w twoje objęcia. Jeżeli zaś tego nie będziesz mógł uskutecznić, córka twoja zostanie niewolnicą sułtana, a ty sam będziesz po zdobyciu Rodu, dzikiémi końmi rozszarpany. Wiédz zatém, iż jutro wieczór wojsko proroka nowy szturm do twierdzy przypuści. We dwie godziny po wieczornéj modlitwie, uderzy na pozór część naszéj armii na tę basztę, którą włoską zowiecie, istotny zaś szturm na basztę Auvergne wymierzy. Starajże się, aby ani jeden strzał nie padł z owéj baszty, gdyż wiédz o tém, że namiot twojéj córki znajduje się w téj stronie i może być waszémi kulami dosiągnięty. Oraz masz się starać, aby, gdy nasi wojownicy sztandar na owém miejscu zatkną, żaden się tam niewierny nie znajdował. Uczyń to, a zostaniesz przy życiu.”

Gdy Bertrand ten nieszczęsny list czytał, tkwiły

spojrzenia więźnia badawczo w licu młodzieńca, chcąc tam jakąś oznakę politowania wyczytać; lecz gdy rysy Bertranda po odczytaniu listu, wyraz najwyższéj wzgardy przybrały, zamienił się niepokój nieszczęśliwego kanclerza w niepohamowaną wściekłość, i chciał Bertranda groźbami nakłonić do swego celu.

»I tożto jest ów kochanek,» — wyrzucał mu ze wzgardą — „który chciał życie dla swéj kochanki poświęcić, a teraz dla jéj uratowania nic przedsięwziąć nie śmié!»

Potém groził mu, że go przed sądem jako spółwinowajcę oskarży; chciał go przestraszyć niesławą, ująć prośbami i przyrzeczeniami, lecz nadaremnie; Bertrand słuchał go niewzruszony, a wreszcie — „Nieszczęsny," — rzekł do niego — „za wszelkie skarby świata nie chciałbym poniżyć się do tego, do czego ty mię chcesz użyć. Izabelę moję ocalę albo zginę, lecz mojéj rycerskiéj sławy niczém nie splamię. Bądź zdrów; oby się nieba nad tobą zlitowały!" To rzekłszy rzucił pismo o ziemię i wyszedł śpiesznie z więzienia.

De Merail pozostał w osłupieniu.

Wkrótce nadeszła godzina wieczornéj modlitwy muzułmanów a z nią i wyznaczona chwila do napadu Turków na twierdzę, chwila, mająca rozstrzygnąć los kochanki Bertranda. Niezwłocznie udał się tedy do pałacu wielkiego mistrza, i żądał z nim mówić o sprawie, w któréj szło o śmierć i życie; lecz Villiers nie chciał go przypuścić do siebie, zaczém Bertrand musiał odejść z niczém.

W kilku minutach zgromadził cały swój hufiec, przywdział najlekszą zbroję i pośpieszył ku bramie przy baszcie Auvergne, chcąc tamtędy wyjść z miasta. Gdy już był bliski bramy, zastanowił się na chwilę i rzekł do siebie: „Nie, trzeba go przecież ostrzedz. Mniemał zapewnie, iż przychodzę w obronie zdrajcy. Wróć się Dufarrel, idź śpieszno do pałacu wielkiego mistrza i nie ustąp wprzódy, aż będziesz mógł z nim mówić. Powiedz mu, aby miał baczne oko na basztę Auvergne, mam bowiem słuszne powody domyślania się, iż tam najzaciętszy bój się rozpocznie, chociażby nawet Turcy na pozór gdzieindziéj najprzód szturm przypuścić mieli; a jeżli jutro przed świtem nie powrócę, oddaj mu do własnych rąk ten pierścień i powiedz że już nie żyję."

Wojownik, do którego Bertrand to mówił, usłuchał rozkazu pana swego, chociaż szczérze żałował, iż go opuścić musiał. Po oddaleniu się Bertranda, pośpieszył do pałacu wielkiego mistrza, i prosił po dwakroć, aby mu pozwolono z nim mówić; lecz Villiers de l'Isle Adam znajdował się właśnie na radzie i nie mógł się z nikim widzieć. W tymże czasie wszczął się rozruch trwogi na zachodniéj strony fortecy, rozległ się krzyk do broni, i ozwały się gęste strzały działowe. Niepomny otrzymanego rozkazu, pobiegł Dufarrel coprędzéj na miejsce boju. W pół drogi jednakże przypomniawszy sobie surowe polecenie Bertranda, wrócił znowu śpiesznie do pałacu wielkiego mistrza, który otoczony orszakiem rycerzy i wojowników, śpieszył ku włoskiéj baszcie. Wielki mistrz postrzegłszy biegnącego Duffarela, mniemał iż unika walki. »Cóż to, uciekasz z boju!» krzyknął i uderzył go żelazną rękawicą. »Nazad na wały tchórzu, lub zginiesz tu na miejscu! Nie mów mi ani słowa — natychmiast wracaj na wały!» i tu go znowu uderzył pięścią. Żołnierz wytrzeszczył nań gniewem zaiskrzone oczy, a potém zwrócił się nagle, i pobiegł ku włoskiéj baszcie, gdzie w tłumie walczących zniknął.

*

Księżyc skrył się za chmury i ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie, gdy Bertrand ze swoim orszakiem przy baszcie Auvergne wyszedł za mury miasta. W otaczającéj zewsząd ciemności, kilka tylko świateł w tureckim obozie było jedyną skazówką ich drogi; lecz każdy z żołnierzy był z poprzednich wycieczek tak dobrze z całą okolicą obeznanym, iż bez trwogi, chociaż bardzo ostrożnie naprzód postępując, zmierzali wszyscy do niewielkiego lasku, który się może ćwierć mili od tureckiego obozu znajdował.

W ostatnich czasach nie przedsiębrano żadnéj wycieczki z miasta, ponieważ liczba oblężonéj załogi zanadto była małą, aby się na grożące straty narażać mogła; ztąd mniemali się Turcy zupełnie z téj strony bezpiecznymi i nie przedsięwzięli najmniejszych środków obrony przeciw przypadkowéj wycieczce Chrześcijan.

Na szczęście obrał był orszak Bertranda tak pomyślny kierunek drogi, iż nawet żadnéj tureckiéj straży nie zdybał, i przeto mógł się bezpiecznie w niewielkiéj już odległości od nieprzyjacielskich forpocztów, za krzakami ukryć. Bertrand rozkazał żołnierzom pokłaść się na ziemi, i postanowił tu tak długo przeczekać, aż pokąd wszystkie tureckie wojska z obozu ku miastu nie wyruszą, a potém dopiéro swoje śmiałe przedsięwzięcie wykonać. Jakoż w istocie zaczęły niebawem liczne oddziały wojska tuż koło nich przeciągać, skradając się zcicha ku oblężonéj twierdzy, gdzie już wszystko przez zdrajcę de Meraila na ich przyjęcie przygotowane być miało.

Po przeciągnieniu wojska nastała głęboka cisza. Bertrand zbliżył się ostrożnie do przekopów nieprzyjacielskich i wkradł się niepostrzeżenie wraz z wszystkiemi towarzyszami do opuszczonego obozu. Będąc już wewnątrz, postrzegł w niejakiéj odległości oddział jazdy, pozostawionéj dla strzeżenia reszty tureckiéj artyleryi.

Pomiędzy tym znacznie odległym punktem a prze-

*

kopami obozu, stały pojedyncze straże tureckie, z których jedna najbliżej przekopu i Bertrandowego hufcu będąca, w rozmowę z dalszą strażą się wdała. Nieco na uboczu widać było kilka szałaszów pijonijerskich, a poza niemi były rozbite trzy lub cztery oświetlone namioty, wystawione widocznie na strzały z baszty oblężonego miasta. W jednym z tych namiotów spodziewał się Bertrand znaleźć co miał najdroższego na świecie.

Straż turecka zajęła się żywą rozmową z pobliskim towarzyszem, a tymczasem Bertrand i jego wojownicy zakradali się jeden po drugim, pomiędzy pijonijerskie szałasze i skryli się w ich cieniu. Ale gdy ostatni Chrześcijanin chciał się również przemknąć, właśnie w tej chwili obróciła się straż turecka, i udała się na swoje właściwe stanowisko, gdzie już w milczeniu tam i nazad przechadzać się zaczęła.

Po niejakim czasie oparłszy się na swojéj arkebuzie, jęła się przysłuchywać, azali się czegoś nie dosłyszy, lecz w tejżesaméj chwili rzucił się ów czwarty Chrześcijanin na nią, zatkał jéj śpieszno usta ręką, i przydeptawszy nogą lont zapalony, wetknął jéj sztylet w piersi. Przytłumione chyrczenie zabitéj straży, było jedyną oznaką popełnionego czynu, a nim się straż pobliska znowu obróciła, przechadzał się już chrześcijański wojownik z turbanem zabitego Turka na głowie, z arkebuzą na ramieniu, tak, iż straż turecka była w tém mniemaniu, że jéj towarzysz nie chciał się daléj wdawać w rozmowę, i stanowiska swego pilnować pragnął. Za każdym więc razem, ilekroć straż turecka do żołnierzy Bertranda tyłem sie obróciła, zakradło się kilku z nich w cień szałaszy pijonijerskich, a gdy już wszyscy się zgromadzili, podszedł Bertrand ostrożnie do owych oświetlonych namiotów, gdzie niewątpliwie Izabelę de Merail zastać się spodziewał. Kryjąc się tedy ile możności w cieniu, stanął pomiędzy dwoma namiotami, i przyłożywszy ucho do ściany jednego, usłyszał mowę turecką; tém ostrzeżony, zwrócił się ku drugiemu namiotowi, i w téjże chwili ozwał się wewnątrz głos pieska, który skomląc z radości, zdawał się przeczuwać obecność jakiejś znajoméj osoby.

„I cóżto ci jest, Guereda?” ozwała się Izabela do pieska. „Ach, ten któregoś niegdyś zwykła była tak witać, jest teraz daleko od nas!”

Usłyszawszy to Bertrand, skinął na swoich towarzyszy, i dał im poznać, iż liczy na ich pomoc, gdyby ktoś więcéj jeszcze miał się znajdować w namiocie. Zamysł ten był niebezpieczny, bo straż przechadzała się przed otworem namiotu, lecz Bertrand uczynił sobie łatwiejsze wnijście przekroiwszy sztyletem płócienną ścianę namiotu. Również prędko przeciął wewnętrzne jego osłony i stanął jak z nieba spadły przed kochanką. Izabela była natenczas sama, a ujrzawszy nagle drogiego przyjaciela, wydała wpółprzytłumiony wykrzyk i padła w jego objęcie. Tu dał się słyszeć jakiś szelest na dworze, a Bertrand, wiedząc dobrze iż szczęśliwe powiedzenie się ich ucieczki, od zachowanéj skrytości zawisło, wstąpił śpiesznie poza przeciętą osłonę, podczas gdy Izabela szybko ku ziemi się schyliła, jakby pieska głaskając. Ledwie że się to stało, szkaradny eunuch wetknął głowę przez drzwi namiotu, i nie ujrzawszy nic takowego, coby jego podejrzenie obudzić mogło, znowu ją usunął, a po kilku minutach później, już Izabela z swoim kochankiem była za namiotem. Nie mówiąc ani słowa do siebie, biegli w ciemnościach nocy przez pola, zmierzając ciągle ku miastu, którego zarysy ledwie poznawać się dawały. Z cicha za niemi dążyła także garstka walecznych towarzyszy, omijając starannie zetknięcie się ze strażą z rzadka porozstawianych czatów tureckich.

Aż w tém nagle od włoskiéj baszty błysnął czerwony promień i rozległ się odgłos działowego wystrzału. W oka mgnieniu rozszérzył się ogień po wszystkich basztach i zagrzmiał huk armat w nocnéj ciszy. Coraz prędzéj i prędzéj uchodził Bertrand, prowadząc Izabelę za rękę, lub niosąc ją na ramionach, jak tego położenie miejsca wymagało. Zawsze jednak spodziewał się zdążyć wcześniéj do baszty Auvergne, nim jeszcze pozorny szturm do baszty włoskiéj ustanie, a istotny do baszty Auvergne się zacznie.

Nieustannie przelatywały im działowe kule ponad głowy, lub uderzając tuż przy nich w ziemię, obsypywały ich rozmiotanym piaskiem. Z każdą chwilą wzmagał się huk armat, wzrastała wrzawa walczących, i coraz bliżéj i groźniéj ziały paszcze dział ogniem, który wszędzie śmierć i zagładę po ich drodze roznosił.

Izabela śmiertelną trwogą przejęta, drżała z przestrachu, a czego mężne serce Bertranda nigdy nie doznało, to dla niéj dziś uczuło — biło obawą o najdroższy skarb życia! Tak zdążyli wreszcie ku baszcie, która jeszcze wolną od szturmu zostawała. Znajdujący się tamże żołnierze postrzegli natychmiast Bertranda, który niosąc Izabelę na rękach, zawołał głośno ku wałom, aby go coprędzéj do środka wpuszczono. Już miano otworzyć bramę, gdy wtém oddział nieprzyjacielskiéj piechoty, ku bramie się zapędził. Nie było i chwili do stracenia. Żołnierz mający straż u bramy przestraszył się na widok nadciągających nieprzyjaciół i nie wiedział co czynić. Bertrand, nie widząc żadnego innego sposobu ocalenia kochanki, wyskoczył na gruzy wyłomu, który Turcy wczoraj zrobili, i tamtędy śród gradu strzał łuczników i kul ręcznéj broni, chciał unieść przestraszoną i na poł tylko żywą dziewczynę; ale tuż tuż doganiający go Turcy, i gruzy po których

ją ku murom dźwigał, stały mu na przeszkodzie, i byłby tak blisko już celu, wraz z nią zginął, gdyby mu dwóch wiernych wojowników nie dało z murów pomocy; przechylili się w dół coprędzej — i uratowali dziewczynę. Bertrand wykrzyknął z radością: »Nieście ją do mego pomieszkania, ja tymczasem obejmę wasze stanowisko.»

To rzekłszy usiłował wszelkiemi siłami dostać się na wierzch muru, do czego mu tylko kilka jeszcze kroków brakowało; lecz u wierzchu usuwały się jeszcze bardziéj niżli u spodu kamienie, a w tejże chwili zaczęli i Turcy na wyłom się wdzierać. Widząc to Bertraud, pojął iż nie zdoła przed nimi na wierzch muru się dostać, i chciał się już zatrzymać, aby swoich towarzyszów do wściekłego odporu uszykować, ale w tymże czasie nadbiegł tu mistrz wielki, który właśnie był postrzegł, którędy nieprzyjaciele główny szturm chcą przypuścić.

Zbliżając się tedy w towarzystwie wszystkich rycerzy i wojowników, jakich tylko na prędce mógł zebrać, ujrzał pierwszy Bertranda de la Croix, który — jak mu się zdawało — Turków do szturmu prowadził. Téj małéj przestrzeni, która od nieprzyjaciół go przedzielała, nie dojrzał mistrz w pośpiechu; chrześcijańscy rycerze byli w tymżesamym błędzie, a tak wołając „Zdrada! Zdrada!" rzucili się ku wyłomowi.

Bertrand powitał ich radośnie, sądząc iż mu w pomoc idą, lecz ku swojemu okropnemu zdziwieniu został w mgnieniu oka na ziemię powalony, rozbrojony, i podczas gdy reszta rycerzy najzacietszy opór Turkom stawiała, związany, i cały we krwi do więzienia odprowadzony.

*

W końcu ustała walka; po daremnym szturmie, ustąpili Turcy, i po gromach nocy, jaśniał spokojny ranek. Wtedy otworzono drzwi więzienia Bertranda i prowadzono go w okowach, pod mocną strażą, do pałacu wielkiego mistrza. Przechodząc przez rynek miasta, obaczył czterech ludzi niosących osłonionego trupa, a w niejakiéj odległości ujrzał rusztowanie. Zarazem słyszał w tłumie zgromadzonego ludu, często wymieniane nazwisko »De Merail", a zawsze towarzyszył mu dodatek „ohydny zdrajca" — »słusznie ukarany złoczyńca!»

Więcéj nie było potrzeba dla Bertranda, aby się domyślił o losie ojca swojéj kochanki. Jakoż nie pytając nikogo, co się stało, kazał się daléj w milczeniu prowadzić. Przybywszy do tak nazwanego hospicyjum zakonu rodyjskiego, postrzegł z głębokim żalem, jak straszne spustoszenia zrządziło tu oblężenie. Większa połowa budynków leżała prawie w gruzach, a jęki rannych i umierających rycerzy, czyniły to miejsce przybytkiem okropnych cierpień i ciężkiego smutku. Nareszcie otwarły się drzwi radnéj sali, a Bertrand stanał przed trybunałem zakonu.

Na samym końcu długiego stołu, na nieco podwyższoném krześle siedział mistrz wielki, widocznie znużony i bezsilny, jak to po tak gwałtownéj, bez jednéj chwili spoczynku spędzonéj nocy, inaczéj być nie mogło. Kilku znakomitszych rycerzy stało wokoło niego, a reszta siedziała przy długim stole. Bertrand zatrzymał się naprzeciw wielkiego mistrza, odpowiadając na jego groźne spojrzenia wzrokiem pełnym godności i spokoju.

»Jestto smutny obowiązek," — zaczął mistrz wielki — »zasiadać do sądu na zdradę — na ową ohydną zbrodnię, która, jakby na pozór się zdawało, nie może wcale z męstwem i odwagą się zgodzać. A przecież mieliśmy na owym nieszczęśliwym, który dziś rano zginął, odstraszający przykład, jak potwornie zbrodnie łączyć się mogą z cnotą; a u was, sir Bertrand de la Croix, zdaje się tensam zachodzić wypadek. Pominąwszy bowiem cośmy sami na własne oczy widzieli, wysłuchaliśmy kilku świadków, których zeznania, jawnie waszéj winy dowodzą. Ztémwszystkiém weźmiemy wszystko pod sumienną rozwagę, co tylko na waszą obronę przytoczycie, gdyż Bogu wiadomo, jak chętniebyśmy niewinnym was ujrzeć chcieli. Oskarzają was tedy, iżeście wraz z Andrzejem de Merail, niegdyś kawalerem tego zakonu, knuli spiski z wrogami, wspiérali ich przedsięwzięcia, a wreszcie wczorajszéj nocy nieprzyjaciół do szturmu wiedli. Świadczącémi przeciw wam dowodami są — iżeście nieodstępnym towarzyszem zdrajcy, de Merail, byli, iżeście go przebrani za mnicha, w więzieniu odwidzali, i żeście wtedy — o ile to ze znalezionego u De Meraila tureckiego listu wnioskować można — nad środkami poddania miasta Turkom radzili, i nawet w tym celu z całym waszym orszakiem do tureckiego obozu przeszli; wreszcie, iż ufni w pomyślny skutek, samiście Turków do baszty przyprowadzili. Świadkami są: paź zdrajcy De Meraila, dozorca więzienia w wieży św. Mikołaja, dwóch żołnierzy, którzy wam bramę do baszty otworzyć mieli, nakoniec pięciu kawalerów zakonu, którzy równie jak i ja też widzieli, żeście Turków ku wyłomowi wiedli.»

Po téj przemowie wielkiego mistrza ozwał się obżałowany w sposób następujący: „Sir Villiers de l'Isle Adam — gdyby tu nie chodziło o śmierć i życie, śmiałbym się zaiste z tego, jak łatwo da się ułożyć łańcuch pozornych dowodów przeciw najniewinniejszemu. Żem przymierze z turkami zawarł, pozwalam na to, lecz byłoto przymierze wzajemnéj zguby, przymierze jakie zawiéra tygrys z dzikim bawołem, przymierze między moim mieczem a ich głowami, moim sztyletem a ich sercem. Wszakżeście widzieli, jak krwawo się im dotąd przysłu-

giwałem. I takimżeto niegodném podejrzeniem odpłaca zakon swoim najgorliwszym obrońcom! — Prawda jest żem odwidzał De Meraila w więzieniu, że list turecki czytałem, i żem potemu do tureckiego obozu poszedł; lecz nie poszedłem tam w przyjacielskim zamiarze, a nim za miasto wyszedłem, chciałem cię wielki mistrzu ostrzedz o niebezpieczeństwie; ty jednak nie kazałeś mnie wpuścić do siebie. Ale i wtenczas nawet wysłałem jednego z moich ludzi z poleceniem do ciebie, abyś miał baczne oko na basztę Auvergne, gdyż tam nieprzyjaciel najsrożéj szturmować będzie. Bez wątpienia wypełnił mój poseł powierzony mu rozkaz, a nie pojmuję, dla czegoś o tém nie wspomniał. Zresztą, nie miałem przeszłéj nocy obowiązku pilnowania baszty Auvergne, i udałem się przeto do nieprzyjacielskiego obozu. Celem jednak moich odwidzin było nie zawarcie przymierza z nieprzyjaciołmi, lecz uwolnienie pewnéj damy z więzów niewiernych, a gdzież ów rycerz, któryby śmiał powiedzieć, iż nie powinienem był tego czynić?»

Tu opowiedział wszystkie szczegóły wypadków wczorajszéj nocy, a jego proste wyjaśnienie rzeczy miało tak wyraźną cechę prawdy, iż nie mogło niesprawić najpomyślniejszego skutku.

„Wasze opowiadanie” — rzekł mistrz wielki — „zdaje się być prawdziwém, lecz niéma za sobą żadnych dowodów. Jednakże niechcąc nikogo karać niesprawiedliwie, pozwalamy wam dwie godzin czasu do wynalezienia owego posłańca, któregoście — jak utrzymujecie — do mnie wyprawili. Wybierzcie sobie dwóch rycerzy zakonu, i obowiążcie ich na słowo rycerskie do wyszukania dowodów, iżeście istotnie chcieli ostrzedz zakon o zagrażającém niebezpieczeństwie.”

„Was tedy Janie de Real i Oliver de Braissac obiéram!” ozwał się więzień. »Was proszę odszukać Piotra Dufarrel, jednego z moich żołnierzy. Niech stanie przed trybunałem i powié sumiennie, jakie były ostatnie rozkazy jego pana, zanim do tureckiego obozu wyruszył. Jeżli zapytany nie potwierdzi mych wyznań, natenczas oddam chętnie głowę pod miecz katowski.”

Rycerze podjęli się z ochotą polecenia, a Bertrand został odprowadzonym do więzienia, i czekał niecierpliwie ukończenia sprawy. Nareszcie upłynęły przeznaczone do poszukiwania godziny, a Bertranda wezwano znowu przed trybunał zakonu. Oblicze wielkiego mistrza było tym razem jeszcze bardziéj zasępione.

„Rycerze,” — rzekł do Bertranda smutnym lecz uroczystym głosem — ”rycerze, którymeście wyszukanie waszego świadka zlecili, nie znaleźli wymienionéj osoby. Trybunał wziął to pod rozwagę i wydał wyrok: Zdrajców nie powinna omijać kara; a wskutek tego wyroku cięży na mnie bolesna powinność: skazać was, sir Bertrand de la Croix, na karę śmierci.”

»Stójcie!» krzyknął młodzieniec śmiałym głosem. „Nie nazywajcie mnie Bertrandem de la Croix. Nazwijcie mię: Franciszkiem książęciem de Neville. Tak jest, wielki mistrzu — jamto książę de Neville, wasz synowiec, głowa waszéj rodziny. A teraz spełńcie wasz wyrok śmierci, gdy wiécie, iż niewinna krew, którą przelewać macie, jest wasza własna!” a to mówiąc włożył kapelusz z piórami na głowę i spojrzał hardo na wielkiego mistrza.

Villiers de l'Isle Adam zadrżał na te słowa. Miłość rodzinna i uczucie powinności stoczyły w nim bój okrutny. Był bliski omdlenia, lecz oparł się o poręcz krzesła i wlepił oczy w synowca, którego tak mocno kochał. Długo szukał opamiętania, aż nareszcie podniósł się mężnie i powtórzył z okropnem natężeniem: „Tak jest — skazuję was, Franciszku książę de Neville — na karę śmierci.”

„Nie! Nie!” zawołało wielu z obecnych rycerzy, a w téj chwili rozwarły się podwoje, a jakiś blady wojownik, ścigany od kilku chirurgów szpitalowych, wbiegł pomiędzy rycerzy.

»To obłąkany!» wołają za nim. „Nie dajcie mu się do wielkiego mistrza zbliżyć! Rana w głowie, odebrała mu zmysły.”

Lecz ranny żołnierz nie zważa na ich krzyki, i rzucając się do nóg wielkiemu mistrzowi pokazuje mu pierścień. — »Panie! Nie jestem szalonym. Słuchaj mię, mówię prawdę. Przeszłéj nocy rozkazał mi pan mój, książę de Neville, przed swoją wycieczką do tureckiego obozu, ostrzedz cię o zamierzonym napadzie Turków na basztę Auvergne. „Jeżli przed świtem nie powrócę,” rzekł do mnie — »natenczas oddasz mu ten pierścień, i powiesz, iż już nie żyję.” Ty uderzyłeś mię panie, gdym cię chciał ostrzedz, i nazwałeś mię tchórzem. Uderz mię i teraz, uderz i odbierz mi życie, gdy już mój pan nie żyje, ale niech będzie jego rozkaz spełnionym.”

„O, sprawiedliwe nieba!” zawołał wielki mistrz. „Przebaczcie mnie grzesznikowi! Moja gorąca krew byłaby mię do przelania niewinnéj krwi syna brata mego przywiodła!”

*

Już tedy nie pozostało najmniejsze podejrzenie o niewinności młodego księcia, który teraz objawił powód, dla czego swoje nazwisko taił. Pokochawszy Izabelę de Merail, postanowił był wywalczyć ją sobie bohaterskiemi czynami za sprawę zagrożonego zakonu. A że jego stryj, a teraźniejszy mistrz wielki, wszelkie związki z rodziną de Merail był odrzucił, więc książę, obawiając się i teraz przeciwności z jego strony, okrył się tajemnicą, którą jedynie ojcu swojéj kochanki odkrył. De Merail, który już da-

wniéj w spiski z Turkami wchodził, korzystał z téj sposobności, aby się na swoim rywalu przy wyborze wielkiego mistrza zemścił, a chociaż sam niegdyś oświadczył, iż prędzéj woda z ogniem się złączy, nim ten związek do skutku przyjdzie, zezwolił przecież na połączenie się Izabeli z młodym księciem de Neville.

Po wyjaśnieniu tych wszystkich okoliczności została jeszcze wielkiemu mistrzowi obawa, azali i de Merail również niewinnie skazanym nie został.

»Uspokój się,« — odrzekł książę — »zanadto on zasłużył swoję karę; ale jeźli jakąkolwiek usługę zakonowi uczyniłem, niech się jego córka nie dowié, jaką śmiercią jéj ojciec zginął; niech to będzie tajemnicą zakonu.«

Jakoż i tak się stało. — Wkrótce powitał ją Neville w swojém mieszkaniu, i z żalem zawiadomił, iż jéj ojciec poległ na polu sławy, czemu ona aż do śmierci wierzyła.

Nareszcie, jak to powszechnie wiadomo, poddała się twierdza, lecz dopiero po zupełném zburzeniu murów i zawarciu zaszczytnéj kapitulacyi. Szczupła resztka ocalonych rycerzy, wylądowała na wyspie Kandia, gdzie téż Izabela de Merail oddała rękę temu, który ją tak walecznie zasłużył. Początki ich miłości były wprawdzie burzliwe i smutne, ale gdy się chmury nieszczęścia rozeszły, przeżyli resztę dni życia w pokoju i swobodzie.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 17ty i zawiéra: 1) Kiedy ozíminę przeorać? Przez K. J. Turowskiego. 2) O kredycie i jego skutkach na gospodarstwo krajowe. Dokończenie. 3) Nowsze doświadczenia w hodowli owiec i leczeniu chorób owczych. 4) Literatura. 5) Sposób leczenia koni na kolki. 6) Co robić gdy krowy dają mleko sine, żółte lub ceglane? 7) O sposobie leczenia przypadłości macicznéj u owiec (maciorek). 8) Sposób, mieć wielkie cebule. 9) Wiadomości handlowe.

Biblijoteka leśna. P. Kozłowski, były profesor leśnictwa praktycznego w Siekiernéj pod Bodzentynem, a teraz sprawujący urząd nadleśnego w leśnictwie szydłowieckiém, w powiecie opoczyńskim, w królestwie polskiém, utworzył nowy rodzaj biblijotéki, składającéj się z książek leśnych, z których każda przedstawia osobny gatunek drzewa lub krzewu krajowego ze wszystkiémi jego częściami, a nawet z główniejszémi produktami, jako to: owocami, nasionami, żywicą, gumą, węglem, popiołem i t. p., jakie sam krzew wydaje, lub jakie się z niego sztuką otrzymują. Biblijotekę takową, czyli zbiór książek leśnych ułożył autor z dołączeniem stosownych opisów i z zamieszczeniem niektórych owadów, szkodliwych lasom, w kilku egzemplarzach, a jeden z tychże, złożony z 27 gatunków drzew i z 43 krzewów krajowych, i kilku zagranicznych, darował przed niewielą laty dla instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie. Oprócz wspomnionéj tu liczby książek leśnych znajduje się jeszcze w gabinecie instytutu marymonckiego 156 słojów śklannych, zawierających w sobie nader szacowny i pracowicie przez pomienionego uczonego dokonany zbiór nasion tyluż gatunków drzew i krzewów krajowych i zagranicznych.

Z Warszawy. Od dnia 3go maja wychodzić będzie w Warszawie w drukarni Jaworskiego »*Gazeta niemiecka*, przyjemnéj i nauczającéj rozrywce poświęcona.« Ogłoszony przez redakcyję program oświadcza, iż ta »Gazeta niemiecka tworzy zbiór wszystkiego, co jest pięknem, pożytecznem i zajmującém, przedstawiając zgodnie z smakiem publiczności najlepsze materyje w obfitéj rozmaitości pod następującémi rubrykami, a mianowicie: najlepsze i wyborowe romanse, powieści, szkice podróżne, bijografije i t. d.;« wychodzić zaś będzie to pismo dwa razy co tydzień. Redaktorem odpowiedzialnym jest niejaki pan Berthold. *Przegląd naukowy* czyni uwagę, iż zapewne pisarze warszawscy jak pp. Levestam, Schaffer i t. p. zechcą wesprzéć to przedsięwzięcie. — Nakładem Orgelbranda wyjdzie: *Przekład Platona* przez F. Kozłowskiego. Część piérwsza wraz z wstępem o dziełach i filozofii Platona, okaże się w miesiącu lipcu. — U tegoż samego księgarza przygotowuje się wydanie przekładu nowego dzieła Thiers'a: *Histoire du Consulat et de l'Empire*, — któréjto historyi, dnia 15go marca, w dzień wyjścia onéj w Paryżu, od 10téj godziny z rana do 4téj po południu sprzedano 10,000 egzemplarzy. — W Radomiu wydał p. Leon Rewoliński, nauczyciel literatury i języka polskiego przy gymnazyjum w Radomiu nową *Gramatykę polską*.

Wygrana chocimska. Nie koniecznieto wielkich środków do spełnienia wielkich czynów potrzeba. Byle duch boży w człeku, a i pacholęca ręka Dawida olbrzyma zmoże. Wszystkie prawie zwycięstwa dziejów polskich, odniesione garstką nad tysiącami, są najlepszym tego dowodem. Oważ naprzykład sławna batalija pod Chocimem, któréj wspomnieniem Jan III później serca swoich wojowników zagrzéwał, a od któréj nowsi dziejopisowie upadek tureckiego państwa wywodzą, jakżeto szczupłémi siłami była wygrana! Posłuchajmy co autor »Rozmów zmarłych Polaków« widocznie podług opisu naocznych świadków o téj bitwie powiada: »W dzień św. Marcina (10go listopada 1673) *kazus* stoczył bataliję. Turcy wychodzili z okopów swoich hufcami; nasz harcownik zawsze ich bił. W ten dzień w nocy, nad dniem, zwołano *consilium bellicum*, czy atakować ich w okopach, czy odejść? Gdy właśnie radzą, książę Radziejowski, szwagier hetmana wielk. Sobieskiego, przymknął skrzydła obozu swego naprzeciw reduty okopu tureckiego i począł ją atakować, bez ordynansu hetmana. Przysyła tedy do Jana Sobieskiego, aby mu parę działek i ze dwieście piechoty przysłać. Hetman porwawszy jednego kapitana, Kurcza, dał mu te działka i ludzi w komendę, rozkazując aby do księcia z tém poszedł, i oraz wyraźnie prosząc, żeby nic sam nie zaczynał. Kurcz zaś szalony, minąwszy księcia, prosto poszedł do ataku reduty i — wziął ją. Hetman wielki to widząc, nie doczekawszy końca *consilii*, rozkazał w kotły bić, w oka mgnieniu samo się wojsko uszykowało, i obławem na wały tureckie uderzyli. Pierwszy Jabłonowski, wojewoda ruski, z husarską chorągwią, Bóg wié jakim sposobem, konno i z kopijami, okop przebył; wszyscy więc wleźli w obóz — tamto dopiéro krwawa bitwa, bo każdy na śmierć zajadły, a Turków dwa razy więcéj niż naszych: — wykłuli tedy jednych, drugich wycięli, a o czwartéj po południu w obozie tureckim, w namiocie Hussejn-baszy seraskiera była msza święta i *Te Deum laudamus*.« — A w jakich stopięćdziesiąt lat później pisze dziejopis państwa Osmanów, pan baron Hammer-Purgstall o wygranéj chocimskiéj: »Całe wojsko tureckie było zniszczone. Najznakomitsi wodzowie padli ofiarą klęski. Nad brzegami Dniestru zgasła szczęśliwa gwiazda Ahmeda-Köprili przed blaskiem Sobieskiego, który na téj krwią Chodkiewiczów, Lubomirskich, Sobieskich

poświęconéj widowni polskiej sławy wojennéj pamięć ojcowskich czynów wskrzesił. Rzeź trwała trzy godziny; 40,000 trupów zaległo pobojowisko; książę Radziwiłł zabił własną ręką seraskiera Hussejna; podobnież własną ręką zdobył Sobieski zieloną chorągiew, którą Hussejn od sułtana otrzymał, a którą potém do Rzymu odesłano, aby tam kościoł św. Piotra zdobiła. Ta chorągiew stała się zapowiednią długiego szeregu zwycięzkich znaków, które od bitwy pod Chocimem, jako trofeje chrześcijańskich zwycięstw nad Turkami, liczne kościoły i arsenały europejskie przyozdabiały.« (*Hammer Gesch. des Osm. Reich. T.6, str.* 297.)

Scena na Grabenie w Wiedniu r. 1809. Dnia 14go maja 1809 r., w czasie zajęcia Austryi i Wiédnia przez wojska francuzkie, wyszła groźna odezwa Napoleona do austryjackiej landwery, wzywająca takową do opuszczenia w 14 dniach swych chorągwi i powrotu do domu. Nieposłusznym, jakoteż wszystkim, coby powód do nieposłuszeństwa w tym względzie dali, zagrożono surowemi karami, które nawet i tych dosięgnąc miały, coby przebranych austryjackich żołnierzy u siebie przechowywali, i o takowych natychmiast komendzie miejskiej nie donieśli. W kilka tygodni po téj odezwie przechadzało się około południa liczne towarzystwo spacerujących różnego stanu jak zwykle po Grabenie. Pomiędzy innymi było tam wielu świetnie ustrojonych oficerów francuzkich, z których jeden, młody przystojny mężczyzna, w pobliżu znajdującego się tamże słupa był stanął i przechodzącym Wiedeńkom się przypatrywał. Nagle postrzegł jakiegoś po cywilnemu ubranego mężczyznę, który jego ciekawość wzbudził i udał się kilka kroków za nieznajomym. Przybywszy jednak w okolicę Trattnerhofu, stracił ochotę towarzyszenia daléj swemu mimowolnemu przewodnikowi i wrócił na dawne stanowisko. W téj chwili chwyciła go jakaś panna za rękę i szepnęła mu coś do ucha. Nasz oficer atoli, wbrew wszelkim wyobrażeniom o galanteryi Francuzów, wypatrzył się najprzód zdziwionym i gniewnym wzrokiem na pannę, a potém wymierzył jéj głośny policzek, po którym ona ze wstydem coprędzéj przez Trattnerhof się oddaliła. Tak nieludzkie obejście się oficera z przyzwoicie ubraną panienką oburzyło sprawiedliwie obecnych, którzy natychmiast z hałasem zuchwałego cudzoziemca obstąpili, miotając nań obelgi i pogróżki. Byłoby niezawodnie do krwawego rozruchu przyszło, gdyby nie kilku oficerów francuzkich, którzy w oka mgnieniu zagrożonego otoczyli kolegę i sami o powód jego oburzającego postępku go zapytali. Lecz krótkie jego wytłumaczenie się ze swego niegrzecznego obejścia się z ową nieznajomą pięknością, zamieniło naraz gniew ludu w uszanowanie dla oficera, a w wzgardę i przekleństwa dla panny, która na szczęście zupełnie z oczu już znikła. W kilku bowiem źle wymówionych wyrazach niemieckich, oświadczył młody Francuz, iż owa dama, widząc go jakiemuś przechodniowi, którego on swoim dawnym znajomym być sądził, ciekawie się przypatrującego, tajemnie mu poszepnęła, iż to jest przebrany oficer austryjacki, na którego bacznie zważać należy. Posądzenie go o podobne śpiegostwo, zdało mu się jako Francuzowi i oficerowi napoleońskiemu tak obelżywém, iż naprędce inaczéj swojéj wzgardy dla tak dalece posuniętéj nikczemności okazać nie mógł. — Cały ten wypadek jest dosłownie prawdziwym.

»Najnowszy atrament królowej Wiktoryi.« Wychodzący w Glasgowie dziennik »*Argus*« donosi o pewnym nowym rodzaju atramentu, wynalezionym przez obywatela tegoż miasta, który się już oddawna w zawodzie rolnictwa i chemii jaknajzaszczytniéj odznaczył. Nowy ten materyjał do pisania zowié się ztąd »atramentem Wiktoryi«, ponieważ jéj król. mość najprzód tym wynalazkiem się zajęła, i już go w swoim gabinecie zamiast zwyczajnego czarnego atramentu używać rozkazała. Jest zaś ten nowy atrament zupełnie jak woda bezbarwny, i wcale nie szkodliwy; będąc rozlanym nie plami, ani najmniejszego śladu nie pozostawia. Płyn ten nie wala ani płótna ani wełny, ani jedwabiu, drzewa lub palców, ani czegokolwiek, oprócz jednego śrébra, na którém plamy po nim zostają. — »Atrament Wiktoryi« płynie z wielką łatwością z pióra i zostawia wyraźne czarne albo niebieskie pisemne znaki po sobie, stosownie do papiéru, który umyślnie w tym celu przyrządzonym być musi. Zalety, jakiémi ten piękny i nieszkodliwy płyn nad zwykle dotychczas używanym, a z wielu względów szkodliwym galasowym atramentem celuje, są tak widoczne, iż bynajmniéj wątpić nie można, że takowy wkrótce się upowszechni. Dla tych osobliwie— kończy doniesienie dziennika »*Argus*« — którzy w kosztownie obitych pokojach lub na stołach pracować zwykli, które kosztownemi drobiazgami są zastawione, dla wszystkich którzy w czystości się kochają, dla czytelników w publicznych biblijotekach, dla dam w eleganckich budoarach, dla szkół, których ściany zwykle tak niemiłosiernie czarnym inkaustem obryzgane widzimy — stanie się ten bezbarwny nieplamisty atrament istotném dobrodziejstwem. Nie wiémy wprawdzie po jakiéj cenie przyrządzony w ten sposób atrament z odpowiednim papiérem sprzedawanym być może; to jednak pewna, iż przyrządzanie tych obudwóch potrzebnych materyjałów nie wymaga niczego, coby ich cenę nad cenę zwyczajnego atramentu i papiéru podwyższyć mogło — jeźliby tylko dostateczny i stosowny odbyt się znalazł.

Widz śpiący. W *Théâtre français* w Paryżu dawano niedawno komedyję »*Un mariage sous Louis XV.*« Alexander Dumas, autor téj sztuki, siedział na parterze i wszczął rozmowę z pewnym członkiem akademii francuzkiéj. Pomiędzy innémi wspomniał Dumas, iż wczoraj trajedyję »*le Gladiateur*« zmarłego témi czasy Soumet'a przedstawiano. — »No — i jakże podobała się sztuka?« zapytał akademik. — »Cała publiczność ziéwała lub też drzemała.« — W téj chwili postrzegł akademik swego sąsiada, który siedząc na krześle, w głębokim śnie był pogrążony. — »I ten jegomość także« — ozwał się akademik do poety — »nie zdaje się mocno zabawiać dzisiejszą sztuką.« — »O, to jest spektator jeszcze wczorajszy!« rzekł Dumas.

Przeszkoda. Przy pogrzebach w Anglii jest zwyczaj najmować ludzi, którzy płacząc za trumną zmarłego idą. Pewien majster szewski, który obok swego rzemiosła tym zarobkiem się trudnił, prosił jednego ze swych znajomych, aby wieczorem przy pogrzebie bankiera C* zamiast niego szedł płakać. Gdy wezwany zacnego szewca zapytał: jakaby przeszkoda jemu samemu tych pieniędzy zarobić nie dozwalała, ozwał się tenże: »Dziś w żaden sposób płakać nie mogę, gdyż dzisiaj rano moja własna żona mi umarła.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.